

JAMES FENIMORE COOPER



# OSTATNI MOHIKANIN

James Fenimore Cooper

Ostatni Mohikanin

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

James Fenimore Cooper  
„Ostatni Mohikanin”

Copyright © by James Fenimore Cooper, 1934  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy  
Projekt okładki: Adam Brychcy  
Wydawnictwo: Księgarnia J. Przeworskiego  
Warszawa, 1934

ISBN: 978-83-8119-314-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>  
e-mail:[wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# Rozdział I

## W PUSZCZY

W 1763 roku, w czasie ostatniej wojny, jaką prowadziły ze sobą Anglja i Francja o posiadanie obszarów ciągnących się od źródeł Hudsonu do wielkich jezior, rozegrały się wypadki, które opiszemy w niniejszem opowiadaniu.

Wojna trwała już trzy lata i zwycięstwo zaczęło przechylać się na stronę francuzów. Wódz ich Montcalm wyruszył na czele znacznych sił przeciw anglikom, w rękach których znajdowały się dwie fortece: fort Edward i fort William. W pierwszym z nich stał dowódca wojsk angielskich generał Webb na czele pięciu tysięcy żołnierzy, w drugim stary szkocki weteran pułkownik Munro, mając pod swoim dowództwem zaledwie jeden pułk piechoty.

Gdy do uszu pułkownika Munro doszła wieść, że Montcalm na czele swej armji ciągnie przeciw fortowi William, by zdobyć go i rozbić rozproszonych anglików, wysłał gońca do fortu Edwarda, leżącego w odległości kilku mil, z prośbą o pomoc.

Indianin, którego szkocki pułkownik użył do tej misji, przebył drogę pomiędzy fortami w ciągu dwu godzin, przedzierając się przez gąszcz leśny, lecz dla kolumny wojska, którą Webb wysłał na odsiecz zagrożonemu koledze, zmuszonej do marszu kiepską drogą leśną i obciążonej taborem, droga ta równała się całodziennemu marszowi. W obecności całego garnizonu wyruszył oddział, składający się z tysiąca pięciuset żołnierzy, przy dźwiękach orkiestry z murów forteczki i wkrótce znikł

w leśnej gęstwinie.

Przed blokhauzem, w którym mieściła się kwatery głównodowodzącego, zgromadziła się grupka widzów, ciekawie przypatrujących się sześciu wierzchowcom, które stały osiodłane, gotowe do drogi. Trzy z nich były w bogatej uprzęży: jeden należał do oficera sztabowego, dwa inne miały damskie siodła. Pozostałe trzy konie niosły na grzbietach prowianty i były przeznaczone widocznie dla służby.

Z gromady, otaczającej wejście do blokhauzu, wystąpił jakiś człowiek i zbliżył się do służby, która stała przy koniach. Wygląd tego człowieka zwracał ogólną uwagę; jego wielki wzrost i dziwaczne ubranie stanowiły całość, której śmieszność trudno sobie wyobrazić. Olbrzymia głowa osadzona była na cienkiej szyi ponad wąskimi ramionami. Ręce miał nadzwyczaj długie, chude o niezdarnych małych dłoniach. Wysmukłe nogi zakończone były ogromnymi stopami. Ubiór tej dziwnej postaci składał się z niebieskiego surdutu o krótkich połach i szerokim kołnierzu, z pod którego sterczała cienka szyja, oraz żółtych spodni, sięgających kolan; bawełniane pończochy przymocowane były do łydek za pomocą brudnych białych wstążek. Ciężkie buty dopełniały całości.

Z kieszeni żółtej jedwabnej kamizelki, bardzo już zniszczonej, wystawał instrument, który łatwo można było wziąć za jakąś śmiercionośną broń. Z pod wąskiego stosowanego kapelusza wyglądała pocziwa twarz i para pozbawionych wszelkiego wyrazu oczu.

Głosem melodyjnym zaczął ów dziwak wymieniać wiek i zalety koni, zwracając się do stojącego obok sługi, zbytnio temu nie przejmując się, że nikt go nie słucha. Dopiero, gdy nie

otrzymał odpowiedzi na kilka pytań, spostrzegł ze zdziwieniem, że ów domniemany sługa jest indjaninem, który jako łącznik pułkownika Munro przybył do fortu Edwarda. Wygląd czerwonoskórego mógł nastraszyć nawet człowieka obytego z dzikimi. Wzrok jego wyrażał dzikość i zaciętość; kolory wojennego rysunku, jakimi było pokryte jego ciało, mieszały się z sobą, czyniąc jego twarz jeszcze straszniejszą. Ubiór miał zniszczony, co należało przypisać trudom poprzedniego dnia; za pasem tkwił nóż i tomahawk.

W ciągu krótkiej chwili jego zimne spojrzenie spoczęło na twarzy dziwaka, poczem odwrócił się do niego plecami i zapatrzył w dal.

W tej chwili drzwi blokhauzu otworzyły się i na dziedziniec wyszły dwie damy w towarzystwie generała i młodego oficera. Oficer pomógł swym towarzyszkom dosiąść koni. Młodsza z nich zarzuciła wualkę na rondo swego podróżnego kapelusza, odsłaniając twarz pełną słodyczy i wdzięku, otoczoną złotymi lokami. Widzowie mogli zauważyć, jak podziękowała młodemu oficerowi miłym uśmiechem za okazaną pomoc. Twarz drugiej ukryta była gęstą wualką, ale postać jej zdradzała, że była o kilka lat starsza.

Wszyscy troje dosiedli koni, pożegnali grzecznie generała i mała karawana ruszyła w drogę. W tej chwili obok pań przemknęła jak cień postać indjanina, który wysuwał się na czoło pochodu, aby prowadzić go poprzez gęszcze leśne. To nagłe pojawienie się przewodnika wywołało ze strony młodszej damy lekki okrzyk strachu. Starsza zachowała milczenie ale uniosła nieco wualki i spojrzała na czerwonoskórego swemi ciemnymi oczami, w których odbijał się jednocześnie lęk

i zaciekawienie. Chwila ta wystarczyła, aby móc zauważyć jej piękne oblicze, ocienione gęstemi, czarnymi warkoczami.

Młode damy były córkami pułkownika Munro i udawały się pod opieką majora Dunkana Haywarda, który był narzeczoną młodszej, do domu ojca w forcie Williama. Narzeczoną majora miała na imię Alicja, starsza z sióstr — Kora.

— Czy w puszczy można zobaczyć wiele takich postaci, czy też sprowadził pan tego upiora wyłącznie dla naszej rozrywki? — spytała Alicja żartobliwym tonem, w którym można było jednak wyczuć strach.

— Indjanin jest gościem i należy do naszej armii — odpowiedział oficer. — Zna on wszystkie ścieżki w puszczy i zaofiarował się doprowadzić nas najkrótszą drogą do fortu, przez co zaoszczędzimy wiele czasu i przybędziemy przed kolumną wysłaną przez generała Webba.

— Nie podoba mi się ten dziki — odpowiedziała Alicja. — Czy znasz go, Dunkanie i czy jesteś pewien, że można mu zaufać?

— Znam go — odpowiedział major — inaczej nie powierzyłbym mu pań. Jest to kanadyjczyk, który przeszedł na naszą stronę. Ojciec pań zna go również; jeśli się nie mylę, miał on z nim jakiś zatarg. Pułkownik ukarał go nawet zbyt surowo i traktuje niechętnie.

— Wobec tego, jeszcze mniej podoba mi się — wykrzyknęła dziewczyna. — Przemów do niego, gdyż jak wiesz, oceniam ludzi według dźwięku ich głosu.

— Trudno go będzie zmusić do mówienia, Alicjo. Zna zapewne nieco angielski, ale jak wszyscy czerwoni nie lubi posługiwać się naszym językiem i będzie udawał, że nic nie rozumie. Właśnie przystanął i czeka na nas. Widocznie tutaj



zbacza nasza droga z traktu.

Istotnie, gdy zbliżyli się do indjanina, ten wskazał podróżnym ścieżkę leśną, która ginęła w gęstwinie i była tak wąska, że szerokość jej wystarczała zaledwie na jednego jeźdźca.

— Więc to jest nasza droga — powiedział do sióstr major. — Proszę nie okazywać braku zaufania, gdyż mogłoby to źle wpłynąć na dzikiego.

— Czy nie sądzisz, Koro, — spytała Alicja — że lepiejby było pozostać na trakcie i udać się razem z oddziałem, chociaż droga byłaby przez to dłuższa i mniej wygodna?

— Dlaczego nie ufasz temu człowiekowi? spytała spokojnie Kora. — Jeśli jego skóra ma inny kolor niż nasza, nie znaczy to przecież, aby nie był uczciwy.

Alicja nie sprzeciwiała się więcej i uderzywszy swego konia szpicrutą, pierwsza ruszyła wąską ścieżką, wślad za indjaniniem. Duncan i Kora pośpieszyli za nią, służba zaś, która prowadziła juczne konie, pozostała na trakcie, podążając za pułkiem. Podział ten nastąpił za radą przewodnika, który tłumaczył, że tym sposobem uniknie się zbyt wielu śladów.

Okolo dziesięciu minut musieli podróżni przebijać się przez gęstwinę, jadąc gęsiego, poczem poszycie zaczęło się przerzedzać, pozwalając na szybsze ruchy i jazdę parami. Duncan miał właśnie rozpocząć rozmowę z Korą, gdy nagle do uszu jego dobiegł odgłos kopyt końskich, zmuszając go do zatrzymania się i obejrzenia. W ślady majora poszły obie panie, zatrzymując swoje wierzchowce.

Po chwili na ścieżce, którą właśnie opuścili, ukazał się dziwaczny jeździec na chudej szkapie. Major poznał natychmiast owego dziwaka, który był obecny przy odjeździe z fortu; Alicja

nie była w stanie powstrzymać wybuchu wesołości na widok śmiesznej figury, która potrafiła wywołać uśmiech nawet na poważnych i pięknych ustach Kory.

— Czy pan tu kogoś szuka? — spytał nowoprzybyłego Heyward, gdy ten zbliżył się do towarzystwa. — Nie przynosi pan żadnych złych wiadomości, mam nadzieję?

— Oczywiście — odpowiedział zagadnięty, zdejmując trójgraniasty kapelusz, niewiadomo czy dla ukłonu, czy też aby ochłodzić się po szybkiej jeździe. — Słyszałem, — dodał — że udajecie się państwo do fortu Williama, i pomyślałem sobie, że dobre towarzystwo w podróży w tych niespokojnych czasach jest rzeczą wcale nie do pogardzenia.

— Jeśli dąży pan do fortu — odpowiedział oficer, mało zachwycony propozycją dziwaka — to lepiejby pan zrobił, jadąc traktem.

— Oczywiście; w forcie Edwarda poinformowałem się dokładnie o drodze. Ale człowiekowi mego zawodu nie wypada zbliżać się do tych, których nauczycielem ma zostać niebawem. Dlatego też wybrałem pańskie szanowne towarzystwo, będąc zresztą pewien, że człowiek na takim jak pan stanowisku zna doskonale drogę.

— Jest nam niezmiernie miło, że raczył pan wybrać nasze towarzystwo — odpowiedział major. — Ale jakież jest pańskie stanowisko i zawód, o których pan mówił przed chwilą? Czy nie jest pan przypadkiem fechtmistrzem lub kartografem?

— Nie, panie — odpowiedział uroczyście nieznajomy — nie znam się na żadnej innej sztuce, poza spiewem bożym. Składam modły dziękczynne w formie pięknych psalmów u stóp Najwyższego.

— Człowiek ten zaczyna mi się podobać — powiedziała Alicja.  
— Nie patrz nań ponuro, Dunkanie, biorę go pod swoją opiekę, gdyż muzyka i wszystko, co do niej należy, znajdzie we mnie zawsze protektora.

Major nie mógł odmówić prośbie swej narzeczonej i dawszy koniowi ostrogi, podjechał do Kory, która, nie czekając na ukończenie rozmowy, ruszyła w dalszą drogę, podczas gdy Alicja rozpoczęła pogawędkę ze śpiewakiem.

— Cieszę się — powiedziała młoda dziewczyna — że odnalazł nas pan. Sama cenię szlachetną sztukę śpiewu i uprawiam ją z przyjemnością. Myślę, że skrócimy sobie pieśnią czas i uprzyjemnimy drogę.

— Nie znam niczego, coby więcej odświeżało ciało i duszę, niż pieśń — odpowiedział śpiewak, wyciągając jednocześnie z kieszeni książeczkę z psalmami. Poczem nałożył na nos okulary, wydobyl z kamizelki tajemniczy instrument, który opisaliśmy na początku naszej znajomości, przyłożył go do ust, wydobyl z niego ostry ton i zaczął śpiewać jeden z psalmów głosem pięknym i pełnym. Śpiewowi towarzyszyły płynne ruchy rąk, które widocznie nabył podczas swej wieloletniej pracy pedagogicznej.

Gdy indjanin, idący na czele, usłyszał niespodziewany koncert, zbliżył się szybko do majora i w łamanej angielszczyźnie powiedział mu kilka słów, wskazując na śpiewaka.

— Bardzo mi przykro — odezwał się Dunkan do swej narzeczonej, gdy ta wraz z dziwakiem zbliżyła się do niego — ale muszę przerwać ci zabawę. Zwykła ostrożność wymaga, abyśmy możliwie jaknajciszej odbywali swą podróż przez

puszczę, choć w tej chwili nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Muszę więc stanowczo poprosić naszego mistrza, aby zechciał przerwać swój popis. Przy bardziej sprzyjających okolicznościach skorzystamy, oczywiście, z jego talentu i chętnie posłuchamy pięknego śpiewu.

Podczas, gdy to mówił, wydało mu się, że z gęstwiny pobliskiego krzewu patrzy na niego para błyszczących oczu indjanina. Gdy jednak spojrział na przewodnika i przekonał się, że ten podąża spokojnie dalej, uspokoił się natychmiast, tłumacząc sobie, że to, co wziął za oko dzikiego, było jedynie jakąś jagodą.

A przecież spojrzenie nie myliło go. Ledwie mała karawana odaliła się nieco, gdy z pomiędzy krzewów wyszedł na ścieżkę indjanin, twarz którego zdobił okropny rysunek wojenny i z triumfalnym uśmiechem spojrział na oddalających się jeźdźców.

## Rozdział II

### ZDRAJCA

Wieczorem tegoż dnia mniej więcej o godzinę drogi od fortu Edwarda, nad brzegiem niewielkiej ale wartkiej rzeki, odpoczywali dwaj mężczyźni, prowadząc ożywioną rozmowę i oczekując widocznie na przybycie kogoś. Gałęzie drzew zwisały nisko nad ciemną wodą, czyniąc ją jeszcze ciemniejszą. Upał zmniejszał się już potrosze i chłodne opary, niby zwiewne smugi, kołysały się nad bagnami, rzeczkami i lasami. Głęboką ciszę puszczy przerywała jedynie cicha rozmowa obu mężczyzn i szum wody.

Jednym z nich był indjanin, który w pełnym ubarwieniu wojennem siedział na pniu powalonego przez wichur drzewa; ciało jego pomalowane było czarną i białą farbą tak dziwacznie, że przypominało szkielet, budząc grozę swoim wyglądem. Głowa czerwonoskórnego była zupełnie ogolona i jedynie na czubku widniał kosmyk włosów, zwany skalpowym, w który wetknięte było wspaniałe orle pióro, zwisające ku lewemu ramieniu. U pasa wisiał tomahawk i nóż do skalpowania; krótka strzelba leżała na jego kolanach. Szeroka pierś, wspaniałe rozwinięte mięśnie całego ciała i stanowczość w rysach twarzy, dawały całokształt człowieka w kwiecie wieku, który w najmniejszej mierze nie odczuwa jeszcze utraty sił młodszych.

Towarzyszem jego był człowiek biały, ale ze smagłej i opalonej przez słońce, wiatr i deszcz twarzy nie można było tego wywnioskować. Chuda i mizerna jego postać zdradzała jednakże ową rzadką siłę fizyczną, jaką zdobywa się dzięki stałemu przebywaniu na łonie przyrody i bezustannej walce z przeszkodami i wszelkimi przeciwnościami. Miał on na sobie długi zielony kaftan myśliwski z żółtym szlakiem i skórzane krótkie spodnie. Do pasa miał przytroczony nóż, ale nie było przy nim tomahawka, który zastępowała ładownica i róg z prochem. Myśliwy obuty był w mokasyny, a na nogach jego znajdowało się coś w rodzaju sznurowanych cholewek, wyrobionych ze skóry dzikiego zwierzęcia i przytwierdzonych do kolan cienkimi żyłami jelenia. Za nakrycie głowy służyła mu futrzana czapka. O pobliskie drzewo wsparta była strzelba niezwyklej długości. Oczy strzelca były ruchliwe, ostre i małe; nawet wówczas, gdy mówił, wzrokiem bezustannie badał całą okolicę, jak zwykli to czynić ludzie, którzy obawiają się zbliżenia

- Mówicie o Unkasie — odezwał się nagle miękki, piękny głos.
- Czego chcecie od Unkasa?

Po krótkiej chwili z krzewów wyłonił się bez szelestu młody wojownik, przeszedł obok rozmawiających i usadowił się nad brzegiem rzeki. Ani indjanin ani biały strzelec nie okazali najmniejszego zdziwienia. Czingaszguk zwrócił się po chwili do swego syna.

- Mów, Unkasie, co wykryły twoje oczy? — zapytał.

— Odnalazłem ślady irokezów — odpowiedział młodzieniec. — Liczba ich jest liczbą palców na moich rękach, ale ukrywają się tchórzliwie w swych norach.

- Łotry wyszli, aby skalpować i rabować — rzekł Sokole Oko.
- Generał Montcalm wysłał swoich szpiegów aż do naszego obozu.

— Zostaną przegnani — rzekł wódz, rzucając spojrzenie na zachodzące słońce — ze swych kryjówek jak dzikie zwierzęta. Przyrządź, Unkasie, wieczerzę, a jutro pokażemy huronom, że jesteśmy mężczyznami.

— Gotów jestem na jedno i na drugie — odpowiedział biały myśliwy — ale aby móc walczyć z irokezami, trzeba ich naprzód wytropić, aby zaś móc jeść, trzeba znaleźć dziczyznę... Ba, o wilku mowa, a wilk tuż. Oto najwspanialsze pieczyste, jakie widziałem tego lata, poruszyło się w krzakach. Słuchaj, Unkasie — mówił szeptem, zwracając się do młodego indjanina — założę się, że trafię tego jelenia między oczy, nieco bliżej prawego oka.

Unkas zarwał się na równe nogi i zawołał:

- To niemożliwe! Przecież widać zaledwie końce rogów!
- Tak mówi młody chłopiec — odpowiedział strzelec,

potrząsając głową i uśmiechając się do ojca Unkasa. — Czyż myślisz, że gdy widzę choćby tylko kawałek stworzenia, to nie wiem, gdzie znajduje się reszta?

Mówiąc to, podniósł swoją długą strzelbę, przygotowując się do strzału, gdy nagle wódz podbił mu broń.

— Sokole Oko — rzekł Czingaszguk — czy chcesz sprowadzić nam na kark mingów?

— Masz rację, przyjacielu — odpowiedział strzelec — nie pomyślałem o tem. Pozostawiam jelenia twemu łukowi, Unkasie — rzekł do młodzieńca — gdyż w razie przeciwnym irokezi chcieliby niezawodnie wieczerzać razem z nami.

Młody wojownik nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i rzuciwszy się w trawę popęzł w krzaki niby wąż. Wkrótce potem usłyszeli obaj myśliwi furkot strzały, wypuszczonej z jego łuku. Raniony jelenź rzucił się z wściekłością na młodzieńca, ale ten uchylił się zręcznie przed grożącym mu ciosem rogów i szybkim ruchem przeciął biegnącemu zwierzęciu gardło. Rzęząc, upadło szlachetne zwierzę nad brzegiem rzeki, krwią swoją zabarwiając jej wody.



— To było prawdziwie mistrzowskie uderzenie — powiedział wesoło Sokole Oko. — Teraz chcielibyśmy...

— Pst! — przerwał mu ostrzegawczo Czingaszguk, przypadłszy do ziemi. — Słyszę czyjeś kroki.

— To pewnie idą inne jelenie, lub wilki dążące ich śladem — rzekł strzelec.

— Nie — odpowiedział powstając wódz — to nadchodzą konie bladych twarzy. — Rzekłszy to, czerwonoskóry usadowił się spokojnie na pniu drzewa, dodając: Blade twarze są twoimi braćmi, Sokole Oko, przeto rozmawiaj ty z nimi.

— Dobrze, będę z nimi mówił — brzmiała odpowiedź — ale nie widzę nikogo, ani człowieka, ani zwierzęcia... A jednak... Oto trzasnęła gałązka... a tam poruszają się krzaki. Tak, to biali, widzę ich. Daj Boże, aby uszli rąk mingosów.



Na ścieżce, wydeptanej przez dzikie zwierzęta, ukazała się postać pierwszego jeźdźca. Sokole Oko ze strzelbą w ręku wyszedł na spotkanie nadciągającym podróżnym.

— Kto przybywa? — zapytał po angielsku strzelec.

— Dobrzy chrześcijanie i przyjaciele króla — brzmiała odpowiedź. — Zbłądziliśmy w lesie i prosimy, abyście nam zechcieli powiedzieć, jak daleko jesteśmy od fortu Williama?

— Fort Williama — odpowiedział, śmiejąc się, strzelec — jest bardzo daleko. Jeśli jesteście przyjaciółmi króla, to zrobicie daleko lepiej, udając się z biegiem rzeki do fortu Edwarda, w którym beczynn timer siedzi generał Webb, zamiast zabrać się do przepędzenia zuchwałych Francuzów za jezioro Champlain.

— Jak daleko jesteśmy od fortu Edwarda? — spytał jeździec.

— Dzisiaj rano wyjechaliśmy stamtąd, aby dotrzeć do fortu Williama. Nasz indjanin, który służył nam za przewodnika, zabłądził przy wskazywaniu najkrótszej drogi leśnej i teraz nie wiemy, gdzie jesteśmy.

— Indjanin zabłądził przy pokazywaniu wam drogi leśnej? — rzucił strzelec pytanie tonem największego niedowierzania. — I oto teraz, gdy słońce świeci na korony drzew i gdy strumienie pełne są wody? Hm... byłoby to rzeczą osobliwą. Do jakiego plemienia należy wasz przewodnik?

— Teraz należy do mohawków, ale z urodzenia jest on huronem — odpowiedział jeździec.

— Hu! — wykrzyknęli obaj czerwonoskórzy, usłyszawszy słowo „huron”. Porzucając wszelką powściągliwość, zerwali się na równe nogi.

— Huron — powtórzył Sokole Oko i znowu potrząsnął głową

z niedowierzaniem. — Huroni to zdrajcy i łotry.

— Nie pytam pana bynajmniej o zdanie co do charakteru huronów — odparł Heyward, on to był bowiem. — Chcę tylko wiedzieć, jak daleko jest stąd do fortu Edwarda. Znam swego przewodnika od dawna, a o was nic nie wiem.

— Zanim odpowiem, musiałbym naprzód wiedzieć, czy nie mam do czynienia ze szpiegiem Montcalma — odpowiedział strzelec. — Któż pan jest właściwie?

— Jestem major Heyward z 60-go pułku strzelców królewskich — odpowiedział jeździec.

— Chciałbym zobaczyć tego indjanina, który zabłądził w lesie — rzekł po namyśle Sokole Oko. — Dowiedziałbym się natychmiast, co to za ptaszek.

Z temi słowy ruszył szybko ścieżką i za zakrętem ujrzał obie młode kobiety, a obok, — przewodnika-indjanina, który spokojnie wytrzymał badawcze spojrzenie strzelca.

— Widzi pan, panie majorze, jest tak jak powiedziałem. Mingos jest zdrajcą — rzekł Sokole Oko do Dunkana. — Gdyby pan był sam i gdyby pan chciał poświęcić swego konia wilkom, to w przeciągu godziny zaprowadziłbym pana do samego fortu, ale w towarzystwie pań jest to niemożliwe.

— Ale dlaczegożby nie? Te panie są wprawdzie zmęczone, ale kilka mil mogą jeszcze przejechać.

— Powiedziałem, że jest to niemożliwe — odpowiedział Sokole Oko. — Z tym przewodnikiem nie odważyłbym się przebyć w lesie ani ćwierć mili, gdy noc nadciąga, choćby mi ofiarowano w nagrodę najlepszą strzelbę w całym kraju. Cała okolica pełna jest irokezów, a wasz przewodnik będzie umiał

zaprowadzić was do nich.

— Muszę wyznać — powiedział major głosem stłumionym — że i we mnie wzbudził on już podejrzenie. Dlatego też nie jechałem za tym drabem, ale kazałem mu iść za sobą, jak to widzicie.

— Na pierwszy rzut oka poznałem, że jest skończonym łotrem — powiedział strzelec z całą pewnością siebie. — Mógłbym go łatwo postrzelić w nogę wystającą z za drzewa, co odebrałoby mu możliwość ucieczki. Gdybym podszedł do niego jeszcze raz, to z pewnością zbudziłbym w nim czujność i uciekłyby nam, jak amen w pacierzu.

To mówiąc, przerzucił strzelbę w lewą rękę, gotując się do strzału.

— Na to zgodzić się nie mogę — wykrzyknął Dunkan. — Wina jego nie jest jeszcze pewna. Inna rzecz, gdybym był przekonany o jego zdradzie...

— Gdy mingosa uważa się za łotra, to nigdy nie popełnia się błędu — mruknął Sokole Oko. — Ale ostatecznie możemy sobie zapewnić jego towarzystwo w inny sposób.

Przywoławszy skinieniem swych czerwonoskórych towarzyszy, którzy natychmiast stanęli przy jego boku. Sokole Oko poprowadził z nimi krótką naradę w narzeczu delawarów, poczem obaj Indianie rzucili swoje strzelby i bez szelestu rozbiegli się w przeciwne strony, aby zniknąć w gąszczu.

— A teraz niech pan podejdzie do tego łotra i stara się zająć go rozmową. Moi mohikanie będą mogli tem łatwiej go schwytać — zwrócił się strzelec do Dunkana. — Niech pan się zachowuje względem niego tak, jakgdyby pan uważał go za najlepszego swego przyjaciela, aby nie odczuł, że mu pan nie ufa.

Major miał wstręt dla tego rodzaju wybiegów. Zdawało się mu, że potrafi schwytać swego dzikiego przewodnika bez jakichkolwiek podstępów. Ale strzelec uśmiechnął się tylko z naiwności oficera.

— Cóż zdoła pan zrobić w takim gąszczu, siedząc na koniu i mając do czynienia z przebiegłym przeciwnikiem?

— No to nie będę siedział na koniu i zsiądę z niego.

— Czy wyobraża pan sobie, że dziki będzie czekał, aż pan uwolni drugą stopę ze strzemienia?

Słońce zaszło właśnie i noc zapadała szybko w gęstwinie puszczy. Niebezpieczeństwo stawało się z każdą chwilą groźniejsze i nie pozostało majorowi nic innego, jak tylko podporządkować się wskazówkom strzelca.

— Słońce zachodzi, Magua — zaczął rozmowę major, zatrzymując się przed przewodnikiem, który stał w jednym miejscu, wsparty o pień drzewa — a my nie jesteśmy bliżej fortu Williama, niż byliśmy dzisiaj rano. Zbłądziliśmy, ale na szczęście spotykamy tego oto strzelca, który w tej chwili rozmawia z nauczycielem śpiewu; chce on nas zaprowadzić na miejsce, w którym możemy spędzić noc bezpiecznie.

— Wobec tego Przebiegły Lis pójdzie sobie swoją drogą — odpowiedział przewodnik, podnosząc z ziemi torbę — a blade twarze pozostaną ze swemi ziomkami.

— Kto sobie pójdzie? Kogo nazywasz Przebiegłym Lisem? — spytał zdziwiony major.

— Magua otrzymał tę nazwę od swoich ojców kanadyjskich — odpowiedział dziki z dumą. — Dzień i noc nie mają dla Przebiegłego Lisa żadnego znaczenia, jeśli go oczekuje

pułkownik Munro.

— A co powiesz pułkownikowi, gdy cię spyta, gdzie pozostawiłeś jego córki?

— Magua da sobie radę. Ramię pułkownika jest za krótkie, aby go mogło dosięgnąć w puszczy.

— Munro przyrzekł ci podarunek — odpowiedział major, nie chcąc drażnić dzikiego — jeśli doprowadzisz jego córki do fortu. Siadaj przeto i posil się nieco, gdyż skoro tylko panie odpoczną, ruszamy dalej.

Przewodnik usiadł posłusznie, udając, że je, lecz twarz jego wyrażała skupioną uwagę. Major pod pozorem obejrzenia zapasów, które miał w torbie indjanin, nachylił się nad nim, usiłując schwycić jego rękę, lecz dziki skoczył nagle, wydając przeciągły okrzyk i znikł w krzakach. W tejże chwili obok oficera przebiegł Czingaszguk, dążąc śladami zbiega. Z przeciwnej strony ścieżki rozległo się wołanie Unkasa, poczem ciszę wieczorną przeszył strzał Sokolego Oka.

## Rozdział III.

### W KRYJÓWCE.

Zdrajca zniknął i wszelkie poszukiwania nie dały wyniku. Gdy po niedługim czasie ścigający zebrali się znowu, major nie ukrywał swego niezadowolenia, proponując szukać zbiega w dalszym ciągu.

— Strzeliłem — mówił Sokole Oko, kierując się wyłącznie szelestem. Ale nie spudłowałem, bo na liściach krzewów pozostały ślady krwi.

— Jeśli został raniony, to może jeszcze wpaść w nasze ręce — zawołał major pośpiesznie.

— Z równem powodzeniem moglibyśmy gonić wiatr — powiedział strzelec. — Kula drasnęła go jedynie po powierzchni skóry, co pobudziło go niezawodnie do jeszcze szybszego biegu, gdyż takie muśnięcie kulą działa jak uderzenie bicia. Powinienem był oszczędzić ten ładunek. Ale teraz poszukajmy sobie szybko jakiej kryjówki, bo ten czerwony djabeł gotów sprowadzić nam na kark całą bandę swoich przyjaciół. Nie mamy chwili do stracenia, jeśli nie chcemy, aby jutro o tej porze nasze skalpy suszyły się w namiotach wojska Montcalma.

Te spokojne słowa strzelca, którego bogate doświadczenie nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości, napełniły majora przerażeniem o los córek pułkownika Munro, które znajdowały się pod jego opieką. Zdawało mu się, że za każdym krzewem ukrywa się dziki, który czeka jedynie na odpowiednią chwilę, aby napaść na zbłądzonych podróżnych.

— Cóż więc mamy uczynić? — zapytał tonem zupełnej bezradności. — Na miły Bóg, nie opuszczajcie mnie, przyjaciele! Dopomóżcie uratować te kobiety, które znajdują się pod moją opieką! Zgóry przyrzekam wam nagrodę, jakiej tylko zażądacie.

Trzej mężczyźni, którzy bardzo gorliwie rozmawiali i naradzali się w narzeczu delawarów, nie zwracali uwagi na słowa majora. Widać było, że niema pomiędzy nimi jednolitego zdania, co do sposobu ratunku. Wreszcie doszli do porozumienia. Strzelec skinął kilkakrotnie głową na znak zgody i zwrócił się do oficera oraz do towarzyszącego mu nauczyciela śpiewu.

— Unkas ma rację — rzekł jakgdyby do samego siebie. — Nie możemy was pozostawić własnemu losowi, nawet gdybyśmy

przez to nazawsze mieli utracić swoją tajemną kryjówkę... Tak, moi zacni panowie, proście Boga, aby nam dopomógł. Obaj mohikanie i ja dołożymy wszelkich starań, aby panie ochronione zostały przed wszelkiem możliwym nieszczęściem. Za wysiłki swoje nie będziemy żądali żadnej innej nagrody prócz tej, którą Bóg wyznaczył ludziom za każdy dobry czyn. Musi nam pan jednak, panie majorze, przyrzec w imieniu swoim i towarzyszek dwie rzeczy.

— Niech pan wymieni swoje warunki.

— Pierwszy, to zachowanie zupełnej ciszy bez względu na to, co zajdzie. Drugi warunek polega na tem, że miejsce, do którego państwa zaprowadzimy, musi być utrzymane w najgłębszej tajemnicy.

— Daję słowo honoru, że dotrzymam warunków — wykrzyknął major.

— A zatem chodźmy — rzekł strzelec. — Nie traćmy daremnie czasu, gdyż każda chwila jest droga.

Cienie wieczoru pod koronami drzew zgęściły się tak, iż zdawało się, że na świecie panowała już noc. Heyward w towarzystwie Sokolego Oka udał się do wyczekujących młodych kobiet, aby przedstawić im nowego przewodnika i dodać potrzebnej odwagi. Obie panny zsiadły z koni bez słowa i idąc za wskazówkami majora udały się nad brzeg rzeki, gdzie w tej chwili wszyscy już byli zebrani. Naradzano się nad tem, co zrobić z końmi. Postanowiono za radą Czingaszguka poprowadzić konie wodą przy brzegu rzeki. Klaczy nauczyciela śpiewu nie dało się zabrać, bowiem dzięki swej nerwowości mogłaby ona sprowadzić nieszczęście na całe towarzystwo.

— Klacz ta musi umrzeć — powiedział strzelec. — Unkas,

gdzie masz twoje strzały?

— Stój! — zawołał właściciel klaczy skazanej na śmierć. — Oszczędźcie życie niewinnej istoty, która nikomu nie szkodzi i krzywdy nie wyrządza.

— Zbyt wielu ludziom grozi śmierć — rzekł strzelec — abyśmy mogli liczyć się z tem. Jeśli pan jeszcze raz tak głośno zaprotestuje, to pozostawię pana na łaskę indjan. Bierz swój łuk, Unkasie, bo nie mamy ani chwili do stracenia.

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy klacz, trafiona strzałą Unkasa, podskoczyła do góry a potem upadła na kolana. Błyskawicznym ruchem Czingaszguk przeciął jej gardło i zepchnął do bystrych wód rzeki. Przerażone panny Munro z drżeniem przyglądały się tej krwawej scenie, która dała im poznać całą grozę ich położenia. Indjanie ujęli za uzdy pozostałe konie, weszli z niemi do wody i niebawem zniknęli w mrokach nocy. Tymczasem strzelec wydobył z ukrycia duże kanu i opuścił je na wodę. Na jego milczący znak obie młode kobiety wsiadły do tego chwiejnego statku, za niemi podążył major i nauczyciel śpiewu, a Sokole Oko, ująwszy za wiosło, wyprowadził łódkę na środek rwącego prądu rzeki. Przeprowa ta wymagała dokładnej znajomości rzeki i wielkiej zręczności; na każdym kroku czyhały podwodne skały, wiry i pnie drzew porwane prądem. Słychać było dziki łoskot wodospadu, wzmagający się coraz bardziej. Kanu zbliżało się do wielkiego wiru wodnego. Na rozkaz strzelca wszyscy musieli skupić się na przedzie łodzi, podczas gdy on sam, stojąc na drugim końcu łodzi, ręką pewną i śmiałą prowadził ją przez miejsce niebezpieczne. Po chwili kanu znalazło się w spienionym wirze, który z szybkością strzały zataczał niespodziewany łuk i zdawał się spadać w przepaść.



Woda bulgotała i szumiała ponuro; w przeciągu kilku minut przerażone dziewczęta wyczekiwały, że lada chwila straszliwy żywioł pochłonie je na zawsze. Ale niebezpieczeństwo minęło. Bez jakiegokolwiek przeszkody dotarło kanu do spokojnych fal i niebawem przystanęło przy płaskich skałach, które okazały się częścią malutkiej wysepki, położonej pośrodku rzeki. Na rozkaz strzelca wszyscy pasażerowie opuścili łódkę i wylądowali na wysepce.

— Muszę się wrócić, aby przywieźć mohikanów — rzekł Sokole Oko. — Niedaleko stąd ukryli pod znaną nam ścianą kamienną konie, które aż do rana będą musiały stać w wodzie, i teraz czekają na łódź.

To mówiąc, znikł on w nieprzeniknionych ciemnościach, panujących nad falami rzeki. Z niepokojem, ale jednocześnie z radością i ufnością wyczekiwało całe towarzystwo jego powrotu. Cierpliwość podróżnych nie była wystawiona na zbyt ciężką próbę, gdyż prędzej, niż się ich spodziewano, strzelec i obaj mohikanie zjawili się na wysepce, wlokąc za sobą jelenia, którego zabił Unkas. Major nie mógł na ten widok powstrzymać się od okrzyku radości; w łoskocie wodospadu nie trzeba było tłumić głosu tak bardzo jak na wybrzeżu.

— No, mamy nadzieję, że zdobyliśmy dobrą kryjówkę — zawołał major — ani Montcalm, ani jego irokezi nie zdołają nam nic zrobić.

— Biedna Mirjam! — westchnął smutno nauczyciel śpiewu, który nie przeboleał jeszcze śmierci swej klaczy.

— Strata konia napełnia żalem jego serce — rzekł strzelec. — Dobrze to świadczy o jego charakterze, ale winien zrozumieć, że czasami należy poświęcić zwierzę dla uratowania życia ludzi.

Teraz musimy szybko oprawić jelenia i usunąć odpadki, aby nie ściągnąć sobie na kark głodnych wilków.

Po tych słowach, obładowany różnemi rzeczami, udał się z mohikanami włąb wyspy, gdzie niebawem wszyscy trzej zniknęli w ciemnościach. Heyward i jego młode towarzyski spoglądali na poczynania trzech mężczyzn z pewnem zaniepokojeniem, nie będąc pewni, czy nie padli ofiarą nowej zdrady, natomiast śpiewak zdawał się nie zwracać żadnej uwagi na to, co działo się dokoła niego. Usadowiwszy się na kamieniu folgował swoim uczuciom od czasu do czasu ciężkiem westchnieniem.

Niebawem z głębi wyspy dały się słyszeć mętne głosy, które brzmiały tak, jakgdyby wydobywały się z wnętrza ziemi. Po chwili jasne światło rozproszyło mroki nocy i odsłoniło tajemnicę wyspy przed wzrokiem majora i jego towarzyszek.

Oczom ich ukazała się jaskinia, w głębi której stał strzelec z płonąca pochodnią w ręku. Światło padało na jego szlachetną, szczerą twarz i malowniczy ubiór. Przed nim stał Unkas, którego postać w czerwieni blasków wydała się posągim odlanym w bronzie. Rysy jego twarzy, pełne szlachetnej dumy i męstwa, wraz z malowniczym ubiorem, stanowiły całość pełną romantyzmu.

— Znalazłszy się pod opieką takiego męznego młodzieńca, możemy spokojnie udać się na spoczynek — szepnęła Alicja na ucho majorowi. — Z pewnością nie należy on do tych, którzy zdolniby byli do zdrady.

— Istotnie, młodzieniec nie jest podobny do barbarzyńcy — odpowiedział oficer. — Miejmy nadzieję, że nas nie zawiedzie i że będzie dla nas wiernym, zaufanym przyjacielem.

Rozmowę młodej pary przerwał strzelec, który całe towarzystwo wzywał do jaskini.

— Blask ognia mógłby sprowadzić wroga — powiedział Sokole Oko do wchodzących. — Opuść zasłonę, Unkasie. Panie mogą się usadowić na pękach suchych, wonnych traw, które nam służą zazwyczaj za posłanie. Poczem przystąpmy do spożycia kolacji, gdyż myślę, że głód już dobrze wszystkim dokuczył.

Gdy Unkas opuścił zasłonę przy wejściu, wówczas łoskot wodospadu grzmiał już niby daleki grom.

— Czy w jaskini tej jesteśmy aby zupełnie zabezpieczeni przed nagłym napadem? — zapytał Heyward. — Jedyne uzbrojony człowiek przy wejściu miałby nas w swojej mocy.

Z mrocznej głębi jaskini wynurzyła się straszliwa postać Czingaszguka w wojennym rysunku, podobna do kościotrupa, wyrwając z piersi Alicji i Kory okrzyk zgrozy, ale jedno słowo Heywarda uspokoiło obie kobiety. Mohikanin odsunął zasłonę z drugiej strony jaskini i odsłonił drugie wyjście. Potem, świecąc wielkim łuczywem, ukazał szeroką szczelinę skalną, oddzielającą się od jaskini, i tworzącą przejście do innej grotty.

— Takie stare lisy, jak ja i Czingaszguk, nie dadzą się zapędzić w mysią norę o jednym wejściu, z której niepodobna się wymknąć w razie potrzeby — rzekł strzelec. — Ale teraz czas na posiłek; nasza pieczeń jest gotowa.

Towarzystwo nie kazało zapraszać się dwa razy. Pieczeń jelenia, świetnie przyrządzona, smakowała wszystkim doskonale, szczególnie podróżnym, którzy od wyjazdu z fortu Edwarda nic nie jedli. Major z zadowoleniem obserwował Unkasa, który z godnością usługiwał damom, patrząc z zachwytem na cudną twarzyczkę Kory. Od czasu do czasu

odzywał się swym miłym melodyjnym głosem, używając dość poprawnie angielskiego języka. Przy tem wszystkim jednak gospodarze nie zapominali ani na chwilę o potrzebie najwyższej czujności.

Nauczyciel śpiewu jadł zapamiętałe, a smutek po stracie klaczy, starał się utopić w potężnych łykach doskonałego wina.

— Jak się nazywasz, zacny człowiecze? — zagadnął go siedzący obok Sokole Oko.

— Nazywam się Gamut — Dawid Gamut — odpowiedział nauczyciel, ciągnąc potężny łyk wina.

— Nazwisko niczego sobie. A pański zawód? — wypytywał w dalszym ciągu strzelec.

— Jestem niegodnym nauczycielem szlachetnej sztuki śpiewu kościelnego.

— Sztuki czego?

— Nauczam młodych ludzi z milicji krajowej w Connecticut prawidłowego śpiewu psalmów.

— No, bywają lepsze zajęcia. Umiesz pan obchodzić się z bronią?

— Z bronią, służącą do uśmiercania ludzi nie miałem, chwała Bogu, nigdy do czynienia.

— Może jest pan geografem?

— Geografem także nigdy nie byłem. Jedyne moje powołaniem jest nauczanie ludzi jak mają śpiewać, aby śpiew był ładny i miły Panu.

— Jeśli już tak jest, to niechże pan się popisie przed nami swoją sztuką i zaśpiewa nam jaką ładną pieśń; będzie to pewną rozrywką w czasie tej nocy.

Dawid nie kazał się prosić zbyt długo. Wydobywszy okulary, włożył je na nos, otworzył niewielką książkę i prosił Alicję, aby śpiewała razem z nim. Alicja zgodziła się chętnie, a do śpiewających przyłączyła się wkrótce Kora i niebawem mroczną jaskinię napełnił piękny i harmonijny śpiew. Obaj indjanie siedzieli zasłuchani i nieruchomi, jakby wykuci z kamienia. Strzelcowi przypominał ten uroczysty śpiew wieczorny jego własne dzieciństwo i na twarzy jego malowało się głębokie wzruszenie.

## Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

